

IŚĆ PRZEZ ŻYCIE ZE SŁONECZNĄ PALETĄ...

Godzina 2,10. Spóźniony pociąg wstacza się na peron II w Suchej Beskidzkiej. Pytam jakąś kobietę wyglądającą na miejscową: jak dojechać do Stryzawy i znaleźć pana Władysława Fronta? Ona uśmiecha się.

— A, tego co tak pięknie maluje... Wszystko jak żywe, nie uwierzyłaby pani. Moją synową też malował. A trzech groszy by pani za niego nie dała, taki niepozorny. Bóg mu ręce pobłogosławił, że tak pięknie maluje. Pojedzie pani na Stryzawę Roztoki i wysiądzie na przystanku Krzysie. Tam trzeba dalej spytać.

Kieruję się wskazówką rozmówczyni. Dochodzę do rozśladłego domostwa oplecionego dzikim winem i otoczonego wspaniale ukwieconym ogródkiem. Przed domem drobny, starszy mężczyzna skręca w bibulce tytoń. To właśnie Władysław Front.

W słonecznych kolorach

Proszę o chwilę rozmowy. Wchodzimy do domu pachnącego drewnem, ziołami i farbą. Ze ścian pokoju, w którym siadamy, śmieją się kolorami obrazy: pejzaże górskie, jesienne lasy, wiejskie domki, portrety. Czyste barwy, wyraźny rysunek. Sztuka ta określana jest mianem naiwnego realizmu. Prześwietlana słońcem, radośnie pogodna — jest w niej prostota przydrożnych świateł i czyste piękno niczym nie skażonej natury.

— O, malować zacząłem jeszcze za Franciszka Józefa — odpowiada gospodarz. — Najpierw węglem, a potem od pani nauczycielki dosta-

łem akwarele. Wtedy myślałem, że jestem już prawdziwym malarzem. Długo pozostałem wierny akwarelom — 20 lat. Później zacząłem malować farbami olejnymi. Teraz z akwarel mam już tylko portret córki, jak była mała.

Z rodzinnego domu w Zawoi co dzień przez okno oglądał swoją ukochaną Babią Górę, którą malował najczęściej, chyba kilkaset razy. Kiedy ożenił się i został w Stryzawie, daleko było do jego góry. Ale chodził tam często.

— Kiedyś spotkałem człowieka, który kochał góry — ciągnie opowieść. — Szedł sobie różnymi szczytami od Grecji aż dotarł w Karpaty. Na Babiej Górze trzy dni siedział. Patrzył rano, a on coś sieje. Między skałki i kamienie ziarnka sypie.

— Tu nic nie urośnie — mówię mu. — Za rok będą maki alpejskie, górskie goździki, a na samej skale pięć gatunków szarotek — odpowiadał. I miał rację.

W latach trzydziestych pan Władysław budował schronisko pod Babią Górą. Od ojca nauczył się murarki. Przewodnikiem potem został, ale nie na długo. Nie mógł patrzeć na turystów rwących kwiaty, ślepych na piękno przyrody.

— A mnie Babia Góra zawsze do-

starzała wzruszeń — uśmiecha się. — Oglądałem na niej wschody i zachody słońca, wiatry, deszcze i taką burzę, że myślałem, iż gorszej już być nie może.

W wichurze

Aż nadeszła największa nawałnica. Do Polski wkroczyli Niemcy. Spodobało im się malarstwo pana Władysława.

— Kazali mi robić portrety Hitlera. Pomyślałem, że odmową nic nie uzyskam, a jak się zgodzę to może coś dobrego dla swoich zarobię... Malowałem więc, a czułem się tak, jakby mi kazali cały dzień pieprzyć jeść. Za to miałem pozwolenie przez granicę chodzić, bo tu niedaleko zrobili granicę. Można było ludziom pomóc, przenieść coś do jedzenia, ubranie, wiadomości.

— Aż raz jakiś ważny niemiecki oficer przyjechał. Taką wielką, błyszczącą limuzyną. Obejrzał obrazy, pokazał dwa z nich i pyta, ile kosztują i jak długo je robiłem. Wymieniłem cenę i czas pracy. Kupił i potrząsnął mną. To ja jego spytałem, ile kosztuje taki samochód. Pomyślał i mówi: po dwóch tygodniach pracy u nas też byś sobie taki kupił. Pogadaliśmy z miejscowym komendantem,



Władysław Front i jego obrazy.

żeby mnie niemieckiego nauczyć, do szkół w Magdeburgu posłać i żeby był reichsdeutschem. Mówili, że Front to nie polskie nazwisko, to da się jakoś załatwić. To prawda, że nie polskie, ponoć francuskiego pochodzenia. Jeszcze z czasów napoleońskich, kiedy żołnierze uciekali spod Moskwy i często zostawali na ziemiach polskich. Ale trzeba było coś wymyślić, żeby do Niemiec nie jechać. Tak się niby zbieram, ale niesporo. Zyskuję na czasie, bo nie wiem, co zrobić, żeby tu zostać. Wezwał mnie wreszcie komendant. Cóż, postawiłem na jedną kartę:

— Zawszem był Polakiem, to jak teraz Niemcem zostanę? — I jakoś zostawili mnie w spokoju. Może za te obrazy cam malował?

Ludzie i obrazy

— Dzień dobry panu! — rzuca w progu wysoki mężczyzna. — Chciałem obejrzeć obrazy, może coś kupić...

Wchodzi do izby. Pan Władysław pokazuje mu płótna.

— Ten większy podoba mi się bardziej — wskazuje górski pejzaż. — Ale duży i chciałbym więcej tych drzewek.

— Smreków? — O, właśnie. Ten mniejszy zmieściłby mi się w walcze — pokazuje roześmianą barwną drogę przez jesienny las. — Ale wolałbym góry. A może namaluje mi pan takie góry? Tylko na mniejszym płótnie i żeby tych smreków było więcej. Ja tu jeszcze będę dwa tygodnie. Zdaży pan?

Potakiem słów zaglusza obronę pana Władysława przed zamówieniem. Jeszcze życzy sobie „jakiś” obraz z kwiatami w ogródku. Wybiera kwiaty i odchodzi. Zostaje z ogłuszonym gospodarzem.

— Wie pani, moje obrazy oglądało już dużo ludzi!

— Hm, chyba nie tak jak przed chwilą — myślę sobie.

— Przyjeżdżały wycieczki, turyści zagraniczni. Oglądali, kupowali obrazy. Aż ktoś zawiadomił Ministerstwo Kultury i Sztuki, że tu żyje i maluje. No i zaczęli przyjeżdżać z Krakowa, z Warszawy. W 1967 roku w Suchej Beskidzkiej miałem pierwszą wystawę. Tam, w muzeum regionalnym, jest dużo moich obrazów. Nawet dostałem medal „Za zasługi dla Ziemi Suskiej”.

O sukcesie na I Triennale Plastyki Nieprofesjonalnej, zakupie jego prac do krakowskiego muzeum, czy udział w wystawie 30-lecia PRL gospodarz nie mówi. A takie są właśnie osiągnięcia twórcy samouka, którego malować uczyła natura.

Nad Stryzawą przewaliła się burza, zapadł zmrok. Opuszczam dom, który wydaje mi się bliski, znany od lat. Mam przed sobą całą noc podróży do Warszawy. Myślę o pogodnym starym człowieku, który idzie przez życie wśród ludzi, gór i lasów ze słoneczną paletą w rękę.

JAGA SUŁOCKA

Zdjęcie: Bogdan Krasicki

— Serial Młodych 11 wnosim 1375 ew. 109